

3. Ludzie nie rozróżniają, które książki są dobre, a które nie.

Z dyskusji wynikających z tych prostych faktów wynikał cały ten tekst – który zajął mi stanowczo za dużo czasu i researchu jak na efekt tu widoczny, ale mam nadzieję, że dacie radę doczytać do końca ten długi (ostrzegam!) wpis.

Bo czym tak naprawdę jest zła książka? Czemu książka ma być zła? Czemu takie książki czytamy – i to masowo – ale jednocześnie, jeśli mamy wystarczający kapitał kulturowy, by rozróżnić dobre od złych, często się tego wstydzimy? I dlaczego się wstydzimy? Frapowało mnie to bardzo, więc zanurkowałam w odmęty social mediów, forów, w artykuły krytyków, eseje Virginii Woolf (błogosławmy [Project Gutenberg](https://www.gutenberg.org/ebooks/author/89) (<https://www.gutenberg.org/ebooks/author/89>)) i teksty badaczy literatury drukowanej, bo zwyczajnie nie dawało mi to spokoju. Efekt znajdziecie poniżej.

Dedykuję ten tekst Wiedźmie z bloga [Pałac Wiedźmy](https://palacwiedzmy.wordpress.com/) (<https://palacwiedzmy.wordpress.com/>) oraz mojej koleżance z pracy, Ewie, które są moimi współkoneserkami złej literatury 😊

Elitarność czytania, czy też jej brak

Odkąd pamiętam, uważam, że czytanie nie jest elitarne. Mogło być 100 lat temu: poziom analfabetyzmu na ziemiach II Rzeczypospolitej wynosił 41%, w 1931 roku – 23,1%, a rząd PRL wprowadził ustawę o obowiązkowym nauczaniu analfabetów, a potem zwalczania wtórnego analfabetyzmu, więc pod koniec lat 70. analfabetów zostało mniej niż 1%.

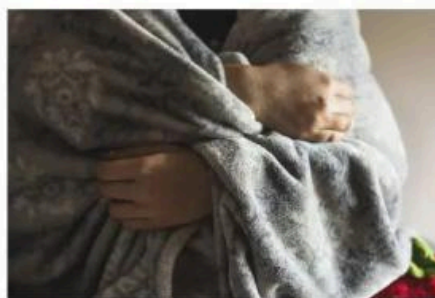


Książki są też dostępne. Nakłady druku popularnej literatury w PRL były gigantyczne (<https://rynek-ksiazki.pl/czasopisma/lenin-kontra-chemielewska-czyli-o-rynku-ksiazki-w-prl/>). – kryminały osiągały 100 tys. egzemplarzy na tytuł, słynne „Tygrysy” (seria małych książeczek o tematyce akcyjno-militarnej, drukowanych praktycznie na papierze toaletowym) nawet 200 tys. W 1983 roku wydano ponad 193 MILIONY egzemplarzy. Dzisiaj rynek działa totalnie inaczej – mamy raczej nadpodaż tytułów niż egzemplarzy. Średni nakład to ponoć 2 tysiące sztuk ([<https://matkaprzezozona.wordpress.com/2024/03/14/literatura-gorszego-sortu-czyli-pochwala-zlych-ksiazek/>](https://rynek-</p></div><div data-bbox=)

ksiazki.pl/czasopisma/rynek-ksiazki-w-polsce-i-na-swiecie/), za to, jak podaje BN (<https://www.bn.org.pl/aktualnosci/4960-raport-o-polskim-rynku-wydawniczym-ksiazek-w-2022-roku.html>), w 2022 do sprzedaży trafiło aż 32 408 tytułów!

Można dyskutować o cenie książek – że są drogie. Owszem, w teorii nie należą do najtańszej formy rozrywki, jednak zwyczajowy niemal rabat 20-25% od ceny okładkowej na wejściu, ciągłe promocje „kup za pół ceny”, „3 w cenie dwóch”, „3 książki za 25 zł” itp. gigantów rynku – monopolizujący Empik, dużą konkurencją jak Świat Książki czy TaniaKsiążka.pl – oraz wprowadzenie papierowych tomów do supermarketów, w cenach zaczynających się od 10 zł sprawiają, że tak naprawdę nie trzeba narzekać (jako czytelnicy). Ba, dodajcie do tego **darmowe** biblioteki oraz równie darmowe megabajty fanfików, powieści na Wattpadzie czy książki udostępniane w ramach różnych akcji promocyjnych (zgadnijcie, kto pobrał ponad 100 ebooków z okazji Stuff Your Kindle Day?), a okazuje się, że bariera ekonomiczna nie jest taka wysoka. O barierze dostępności nie ma już nawet co wspominać – możesz kupić książkę nawet na poczcie czy w spożywczaku. Książki trafiają na wybiegi mody, a bycie „książkarą” to cały modowo-konsumpcyjny trend, niemal subkultura.

Książkara Starter Pack



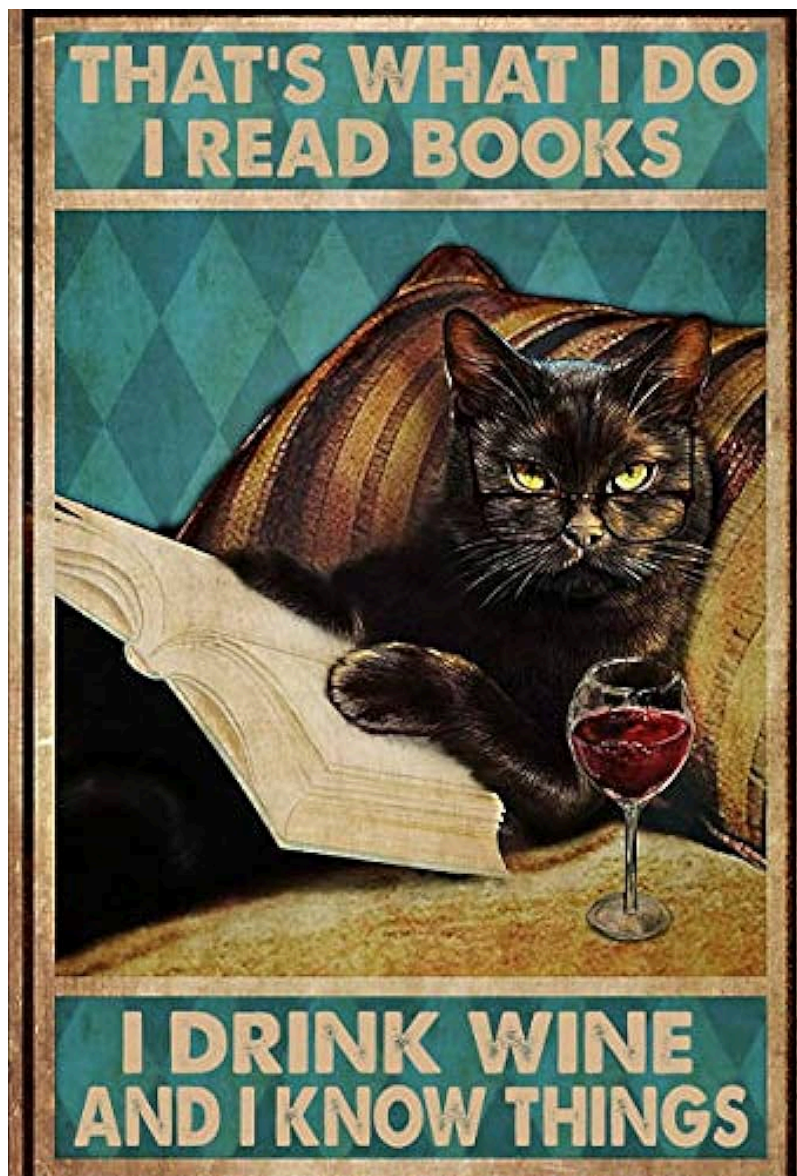
jeja.pl



Inne formy konsumowania kultury: gry komputerowe czy planszowe, komiksy, RPG, muzyka, filmy i seriale – nie stoją już w żaden sposób NIŻEJ od książki. To inne media, z innym sposobem uczestnictwa w nich, ale równie dobre jak stara, znajoma literatura.

Podsumowując: dążę do tego, że czytanie książek jako takie już dawno straciło elitarność. To rozrywka dostępna każdemu, w każdej możliwej postaci, w każdym możliwym miejscu i często nie wymagająca od uczestniczącego w niej odbiorcy kultury specjalnych umiejętności (jak chociażby czytanie krytyczne czy informacje o kontekście literackim). Jednocześnie książki nadal są symbolem

inetelektualizmu – lubimy się z nimi pokazywać, by podkreślić swój inteligencki, alternatywny status, istnieją „kuratorzy prywatnych bibliotek”, którzy zajmują się projektowaniem biblioteczek domowych ważnych ludzi, by wywierały odpowiednie wrażenie na gościach czy kontrahentach (serio!!), celebryci wrzucają fotki z przemyślanie dobranym przez „książkowego stylistę” tytułem, by zaznaczyć swoje poglądy i status...



*Popularny
mem
podkreślający
wyższość
czytelnika
nad nie-
czytelnikiem.*

To temat na zupełnie inny wpis i pozwólcie, że przerwę do tutaj. Myśl przewodnia jest taka, w skrócie, że książki z powodu paru tysięcy lat naleciałości kulturowych nadal są *uznawane* za wyznacznik statusu, mimo że już nim *per se* nie są.

O książkach złych i dobrych

Utarło się, że mamy dwa rodzaje książek: dobre i złe.

Z lektury licznych dyskusji, ale też artykułów stworzonych przez autorytety naukowe (w tym, niestety, mojego ulubionego prof. Jakuba Lichańskiego) oraz samych pisarzy, wyłania się dość prosty obraz. „Dobre” książki (czasami nazywane „literaturą piękną”) to te uznane przez krytyków i akademię. Klasyki literatury, najczęściej napisane przez facetów (wyjątkowo często w średnim wieku i białych), całkiem często już nieżyjących – **Ernest Hemingway** czy **Michał Bułhakow** są dobrymi przykładami tych martwych, a **Philip Roth** czy wyjątkowo nie-biały **Haruki Murakami** to nazwiska spośród żyjących. Zdarzają się kobiety, ale raczej w wyjątkowych sytuacjach. Książka „dobra” nie może też być fantastyką (ha tfu!), musi stać w miarę daleko od kryminału czy romansu, a najlepiej, gdyby dotyczyła spraw społeczno-politycznych, z naciskiem na polityczne. Jeśli jakimś cudem zahacza o te gatunki, zawsze można ją uratować, nie używając tych paskudnych nazw. Takim sposobem fantastyczne powieści **Jakuba Małeckiego** to nie fantastyka, a „realizm magiczny”, *Opowieść Podręcznej* od **Margaret Atwood** staje się „dystopią” i „fikcją spekulatywną”, w przypadku *Dumy i uprzedzenia* stawia się nacisk na aspekt społeczno-historyczny, pomijając kwestie romantyczno-kobiece. Gdy od gatunkowego nieszczęścia nie da się uciec, jak w przypadku **Le Guin** czy **Lema**, podkreśla się na przykład wykształcenie autorek i autorów, aspekt socjologiczny powieści itp.



"[Wrting is]... an art, a craft, a making. To make something well is to give yourself to it, to seek wholeness, to follow spirit. To learn to make something well can take your whole life. It's worth it."

Ursula K. Le Guin

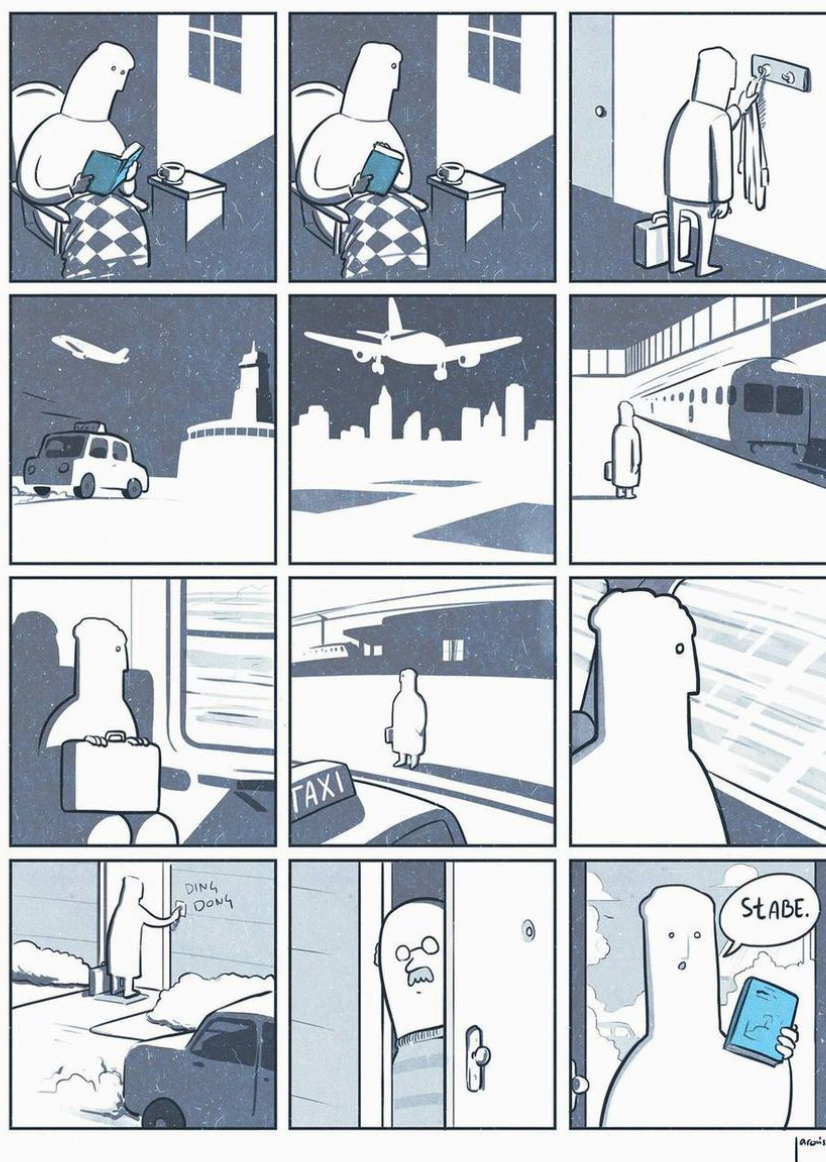
SaraLetourneauWriter.com

Ważne też, żeby „dobra książka” nie zawierała, nie daj boziu, klisz fabularnych i narracyjnych. Powinna robić z literaturą rzeczy w miarę nowe i świeże, tu kłaniają się **James Joyce** ze swoim *Ulisesem* czy nasz **Gombrowicz** z... generalnie wszystkim. Dobrze też, gdyby to była książka z misją – jak niegdyś *Germinal*, *Czerwone i czarne* czy *Lalka*. Co ciekawe, w dużej części przypadków powieści takie są też bardzo „męskie”: kobiety występują raczej sporadycznie lub jako obiekty, a tematyka jest dość... specyficzna. Jeśli spojrzeć na *American Psycho*, główny bohater jest wzorem odnoszącego sukcesy faceta, a jednocześnie psychotycznym mordercą kobiet. W *Lolocie* mamy wynurzenia mężczyzny, dla którego dwunastolatka jest erotyczną obsesją. W *Podziemnym kręgu* (a.k.a. *Fight Clubie*) mamy realizację męskiej fantazji o budowaniu nowego świata wolnego od systemu (i kobiet – te niosą tylko destrukcję męskości). *Zabić drozda*, chociaż napisane przez kobietę

i z narracją z punktu widzenia dziewczynki, skupia się na działaniach mężczyzn. *Pan Tadeusz* – mężczyźni wybierają między kobietami, przeżywają dramaty i odbijają kraj z rąk wroga. *Jądro ciemności* – sami faceci. *Ślepnać od światła* – sami mężczyźni. *Pani Bovary* – o złej kobiecie, która chce więcej od życia. I tak dalej, i tak w kółko. Co ciekawe, większość ze wspomnianych tytułów została okrzyknięta „dobrą literaturą” przez przeważająco męskie (zwłaszcza do połowy, nawet 3/4 XX wieku) grono krytyków.

A co ze złymi książkami? W tej kategorii znajduje się cała, mięsista, pulsująca reszta.

Według oficjalnego podziału na złe i dobre, do koszyka z drugiego sortu literaturą, tymi wszystkimi podgniętymi ulegawkami, obitymi jabłkami i pospolitym szczawiem zamiast docenianego jarmużu, wpada cała, ale to cała literatura popularna: kryminały, fantastyka z horrorem na czele, powieści młodzieżowe, powieści kobiece (swoją drogą, czemu nie ma kategorii „powieść męska”, he?), przygodowe, thrillery, akcyjniaki. Tu znajdziemy obok siebie sagę *Zmierzch* i pięcioksiąg wiedźmiński, wszelkie historie o zakazanej miłości w obozie koncentracyjnym i arabskich żonach, ekologiczne SF Paolo Bacigalupiego, serię *Metro 2033* i powieści o Jamesie Bondzie, seryjne tasiemce Remigiusza Mroza, *Saga o Ludziach Łodu*, *Igrzyska Śmierci* i cykl *Świat Dysku* Pratchetta. I coś tu zaczyna jednak pośmiardywać (może te ulegawki?), bo jednak nie są to książki na tym samym poziomie.



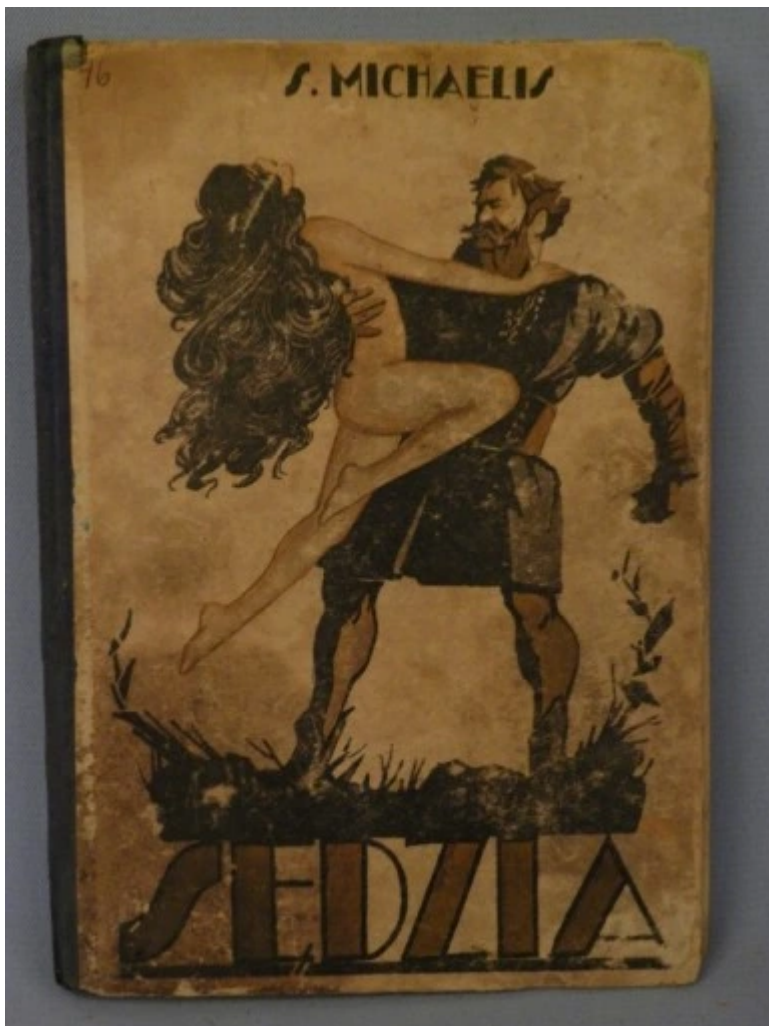
Generalnie w krytyce literackiej utarło się uznawać wszystko, co popularne, zwłaszcza kobiece, za literaturę niską – groszową, gazetową, bibułową... jak zwał, tak zwał. To książki dla osób, które czytać może i potrafią, ale brak im narzędzi krytycznych – nie mają wykształcenia, które pozwoliłoby nawet odróżnić pisanie dobre od pisania złego. Czytanie tych książek ma służyć przyjemności i szybkiej rozrywce, nie pogłębianiu wiedzy o świecie i człowieku. Zła literatura, można powiedzieć, definiowana jest przez czytelnika: gorszego i głupszego niż wykształcone elity. Wywodzi się to z wielu historycznych przyczyn, ściśle połączonych z rozwojem edukacji i przemysłu w Europie, potem w Stanach. Szybciutko to wyjaśnię, bo wiem, że nie każdy miał szansę zagłębić się w temat, ale jeśli wiecie co nieco o historii popkultury, przeskoczcie do następnego rozdziału.

Ta zła, popularna bibuła

W 1932 roku Juliusz Kaden-Bandrowski w Balladzie o książce nakreślił trzy spersonifikowane figury książki. Pisał o książce „matronie” – w skórzanym płótnie, z kantami okutymi w mosiądz, z wytłoczonym złotą czcionką tytułem, takim jak Pan Tadeusz albo Stara baśń, z obrazkami oddzielonymi bibułą, leżącej ciężko na fortepianie od tak dawna, że zmatowiał pod nią spory fragment politory. Jest też książka „kamieniczniczka” – odziedziczona w dużej liczbie wraz z regałami, dostojnymi ozdobami mieszkania wypełnionymi Orzeszkową, Dygasińskim, Prusem, Konopnicką itd., służącymi raczej jako schowek na klucz do strychu albo leki ukryte przed dziećmi niż jako źródło lektur. I jest w końcu książka „ulicznica” – z kolorową okładką przedstawiającą harem hrabin gwałconych na pustyni, tudzież angielski kask i bokobrody lorda albo dwupłatówiec, którym ucieka para przed krokodylami.

Łukasz Biskupski, „Papierowi bandyci: wypisy z polskojęzycznych powieści obiegu brukowego do 1939 roku”

Same historyczne nazwy popularnej literatury mówią nam co nieco o swego rodzaju pogardzie, jaką wobec niej żywili intelektualiści. „Jarmarczna”, jak kolorowe, tandetne zabawki (choć nazwa pochodzi od sposobu dystrybucji), „brukowa”, więc wulgarna i pospolita; „groszowa”, więc tania, „gazetowa”, więc dostępna powszechnie i niskiej jakości wykonania. Rzadziej spotyka się nazwy „literatura uliczna” – kupowana i czytana na ulicach, jak gazety; „sensacyjna/przygodowa”, bo oparta właśnie na ekscytującej akcji; „wagonowa”, bo sprzedawana na dworcach i przystankach, by zapewnić rozrywkę w podróży; do tego samowyjaśniające się „tandetna”.

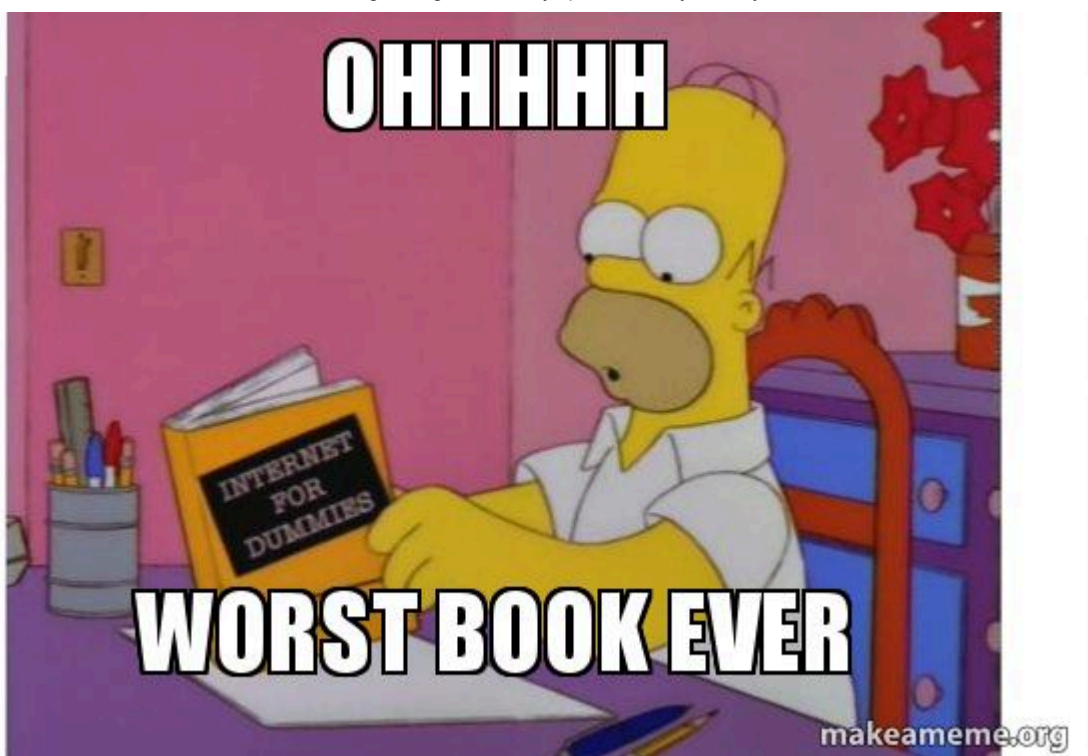


*Okładka
mówi
wszystko.*



A ta nie mówi nic xD

Jest jeszcze nowsze określenie: „książki dla gospodyń domowych” (we Francji już wcześniej pojawiło się „dla kucharek”) – spopularyzowane w USA w latach 50. i 60. na bardzo popularne, proste powieści głównie romansowe, kierowane do zajmujących się domem kobiet (które wtedy szeregowo były mniej wykształcone niż mężczyźni, a część szkół kładła w edukacji dziewcząt nacisk na prace domowe zamiast na przedmioty zwłaszcza z kategorii STEM). Znowu pojawia się więc element „gorszej kobiecości”, tak na marginesie.



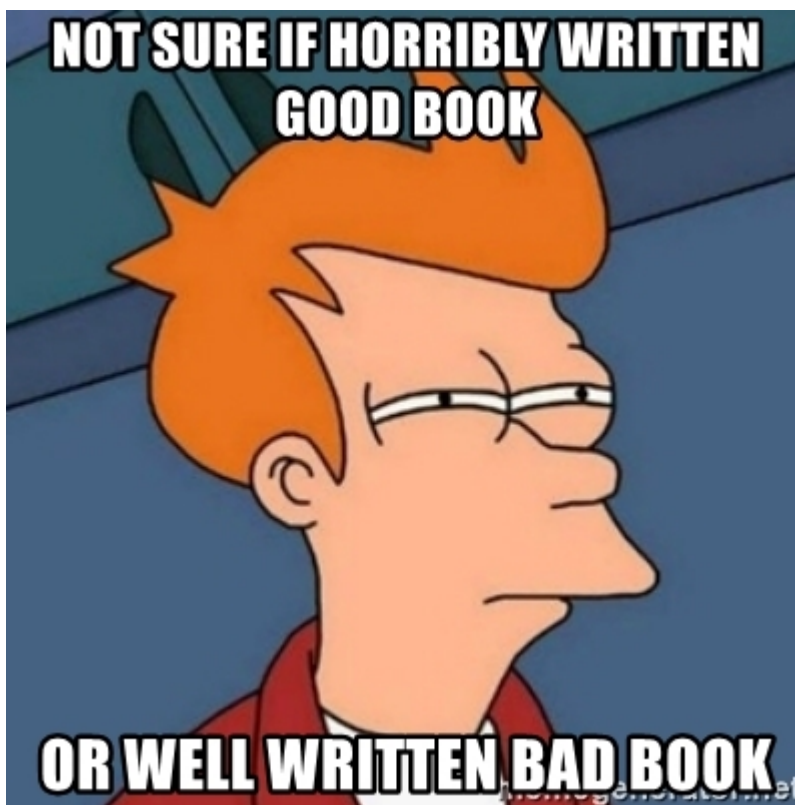
Te powieści miały kilka charakterystycznych cech. Z jednej strony wydawniczych: jakościowo były zwyczajnie słabe. Nieduże, miękkie, krzywo popręczone i pozszywane cienkie tomiki i zeszyty, czasami wręcz dodawane w odcinkach do gazet (tak publikowali np. Prus i Sienkiewicz, mający aspiracje do edukowania ludu) lub inaczej serializowane. W standardzie był brak korekty. Nazywane „bibułą” z powodu kiepskiego papieru, niekoniecznie miały szansę przetrwać jakąkolwiek próbę czasu; do tego były wyjątkowo tanie, więc po przeczytaniu robotnik czy kucharka mogli je z czystym sumieniem wyrzucić, wyłożyć nimi szuflady czy umieścić w toalecie w celu wiadomym (stąd badacze mają problem z ich badaniem). Pojawiały się tu wszelkie melodramaty o wspomnianych hrabinach i krokodylach, ale też nieco lepiej pisane rzeczy, jak chociażby rzeczy **Tadeusza Dołęgi-Mostowicza** (tak, autora *Kariery Nikodema Dyzmy* i *Znachora*) czy **Heleny Mniszkówny** (najbardziej znanej z *Trędowatej*); także uproszczone dla „niewykształconego ludu” książki uznanych autorów. To w ogóle piękna historia fundamentów naszej kultury popularnej – Sherlocka Holmesa, Tomka podróżującego po Czarnym Łądzie czy tropiącego yeti, bodice-ripperów, a nawet naszego stereotypu „orientu” – szejków w namiotach, na karych koniach, z szablą w dłoni, i pięknych mieszkanek haremów odzianych w powłóczyste, przejrzyste szaty.

Z tej części literatury, przeznaczonej dla niewykształconego tłumu, nieznającego greki, łaciny i francuskiego, nie mającego zbytniego pojęcia o filozofii Kanta czy Platona, przemykających z zadrukowaną bibułą między tramwajami i wozami, albo czytających nad kaflową kuchnią w oczekiwaniu, aż bulion dojdzie, a kaczką będzie chrupiąca – wywodzą się „złe książki”, pogardzane, ale czytane i przez klasy wyższe, jakkolwiek ukradkiem. Kategoria, jak mi się zdaje, dość klasistowska.

A może nowy podział?

Pozostawmy na razie oficjalnie dobre książki gdzieś na boku – zwłaszcza że duża część z nich rzeczywiście jest dobra, literacko i fabularnie. Ten tekst nie ma zresztą na celu uderzania w klasykę literatury czy wielkie powieści XXI wieku – to zupełnie inny rodzaj książek niż te, o których chcę pisać. Uznajmy w tym momencie, że są i tyle.

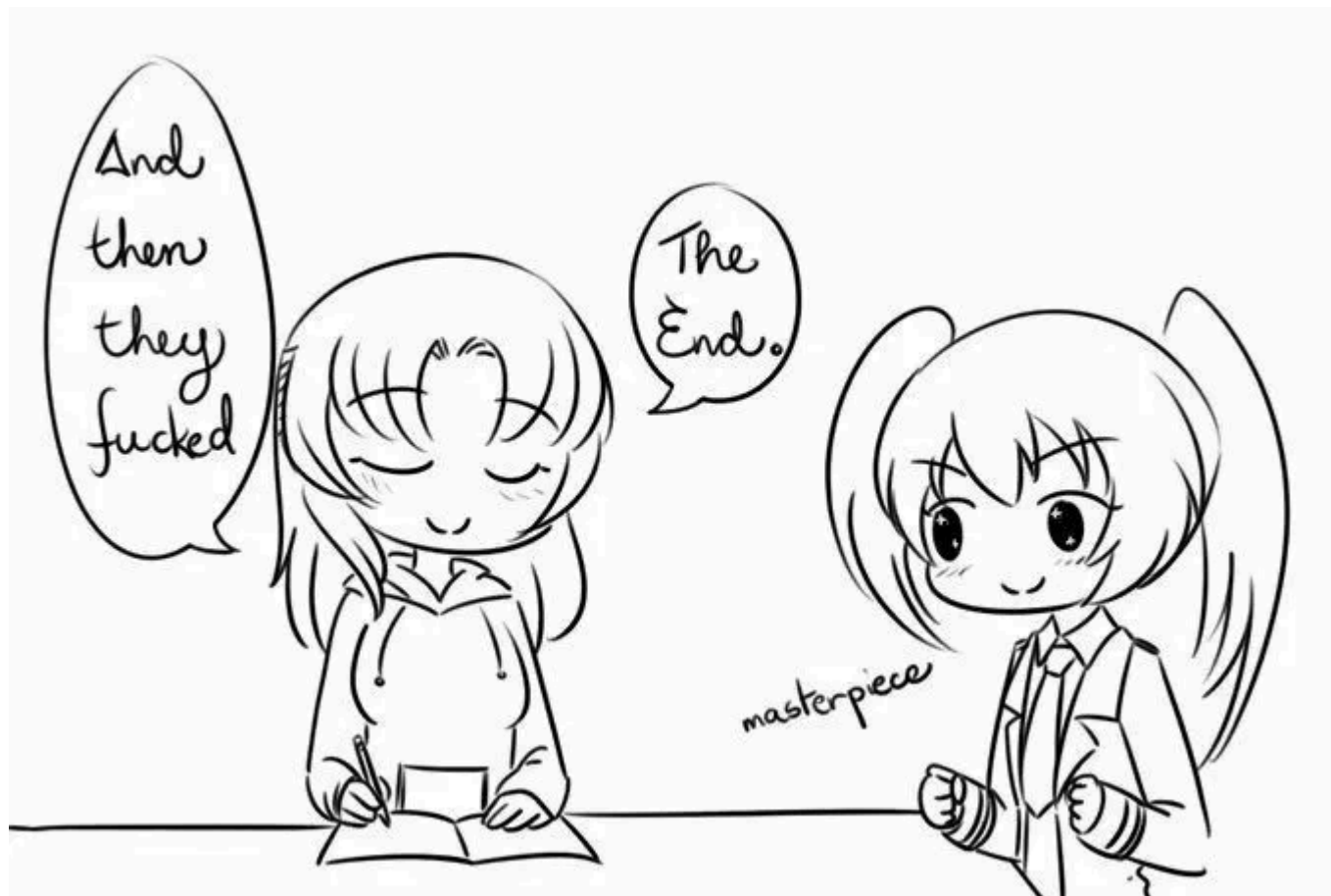
Oficjalnie złe książki powinno się, moim zdaniem, podzielić na trzy odrębne kategorie: świetne, fajne i aczytalne. Czy może bardziej oficjalnie: książki udane, rzemieślnicze i książki nieudane.



Te pierwsze to takie z oryginalnym pomysłem, postaciami z prawdziwym mięskiem i emocjami, a nie zlepkiem klisz, z rozwojem charakterów, z zaskakującymi zwrotami akcji, ze sprytną grą stereotypami i fabularnymi kalkami w ramach swojego gatunku. Takie, które zręcznie grają na emocjach czytelnika i potrafią go zadziwić jakimś zabiegiem. Są świetnie napisane, jak powieści **Naomi Novik** albo **Gene'a Wolfe'a**, **Sheri Tepper** albo **Catherynne M. Valente**, jednak czytelniczy *gatunkizm* nie wpuści ich do kategorii literatury pięknej czy „dobrej”. Wszyscy takie książki znamy, to dość prosta kategoria.

Powieści „rzemieślnicze” to te dość różnej jakości, ale z „tym czymś”. Nawet jeśli zawierają serię klisz, językowe schematy, utarte szlaki fabularne i nie pamiętamy z nich wiele po parunastu dniach, dały nam rozrywkę, radość, wciągały, kibicowaliśmy bohaterkom i szturchaliśmy mentalnie bohaterów, by dotarli bezpiecznie do końca fabuły. To książki często emocjonalnie naładowane po brzegi (jak romanse, pełne napięcia, erotycyzmu i zawsze gratyfikujące szczęśliwym zakończeniem), ekscytujące (thrillery o szpiegach, detektywistyczne narracje pełne zagadek). Przekolorowane – o czym my, czytelnicy, doskonale wiemy i nie szukamy w nich realizmu.

Liczne wśród nich są takie, które brną w językowy banał, pędząc do zakończenia, by czytelniczka czy czytelnik mogli pochłonąć fabułę bez refleksji nad niczym innym – pełno w nich zwrotów takich jak „pocałował kolumnę jej szyi” (moje osobiste *nemesis*, przysięgam, że kolumna szyi trafia się w co drugiej książce, po którą sięgam); jednak nie sięgamy po te powieści, by zachwycić się językiem, nie taka jest ich rola.



Te „rzemieślnicze książki” to często całkowicie poprawne, świadome tego, czym są utwory. Popularny **Andrzej Pilipiuk**, sprzedający ogromne jak na dzisiejszy rynek nakłady swoich wydawnictw, sam siebie nazywa często „Wielkim Grafomanem”. Na spotkaniach powtarzał nie raz, że wie, że jego Jakuby Wędrowycze i Pany Samochodziki to literatura rozrywkowa, oparta na memach kulturowych, nie niosąca dodatkowej wartości poza rozrywką. **Stieg Larsson**, autor trylogii *Millenium*, w jednym z wywiadów powiedział, że doskonale wie, że „żaden z niego Hemingway”. Promujące się na grupach i forach fanów gatunku autorki romansów aktywnie szukają betareaderów, podkreślając, że ich stylowi daleko do Jane Austen, ale próbują być „dobrze czytalne”. Tu problemem bywa często czytelnik, ale o tym za chwilę.

A trzecia część? Książki „nieudane” czy „aczytalne”? To ten moment, gdy orientujemy się, że istnieją książki realnie złe. Złe napisane, źle zredagowane, źle rozpromowane, ze źle zaprojektowanymi postaciami, złą budową świata przedstawionego, złym językiem i po prostu do niczego. Bywa, że czytanie ich może dać czytelniczą radość, po części masochistyczną, ale czasami jest zwyczajnie bolesne. To są książki obiektywnie (!!)

złe. Nie ma co daleko szukać, wystarczy popatrzeć na masę vanitów czy (ech) [365 dni](https://matkaprzelezona.wordpress.com/2018/08/06/kiedy-ksiazki-szkodza-mysli-luzem/) (<https://matkaprzelezona.wordpress.com/2018/08/06/kiedy-ksiazki-szkodza-mysli-luzem/>).

Wstyd i euforia

O książkach udanych / świetnych tak naprawdę nie ma sensu się rozpisywać – nikt nie wstydzi się czytania *Profesora Wilczura* Mostowicza, *Generała i panny* Daphne du Maurier czy kolejnych tytułów Kristin Hannah (tej od *Słowika*). Może celebryci nie robią sobie z tymi tytułami zdjęć na Instagrama, ale też nie sędzę, żeby chowali je, gdy wpadnie ich odwiedzić znajomy z branży.

Ostatnia kategoria – rzeczy nieudane – paradoksalnie nie jest duża, zwłaszcza wśród znanych publikacji. Poza szeregiem samowydanych koszmarków na platformach typu „Amazon Self Publishing”, mamy do czynienia z nielicznymi tytułami, które przypadkowo rozpromowano. Wspomniane *365 dni* to jeden przykład, obok postawiłabym książki Katarzyny Barlińskiej (a.k.a. Pizgacz), wywleczone z odmętów Wattpada i zwyczajnie kiepskie; ostatnio popularne *Haunting Adeline*, którego nie polecam; książki Katarzyny Michalak też obiektywnie są do niczego. Jednocześnie, co warto podkreślić, mogą być **subiektywnie** dobre: czytelniczka może odnajdywać w nich wartość, czerpać przyjemność z lektury i nawet postawić gdzieś na półce z naklejką „moje ulubione”. Źle napisana, źle zredagowana, źle opowiedziana historia nadal może wciągać i fascynować. Co ciekawe, te tytuły wywołują tylko dwie, skrajne reakcje u osób, które miały je w rękach i uznają za fajne: wstyd (i nieprzyznawanie się do ich czytania) albo syndrom obłąkanej twierdzy.

No i moja ulubiona, bardzo pojemna (pod)kategoria: książki rzemieślnicze. Tu najczęściej widać „czytelniczy wstyd”. Już w okresie międzywojennym, gdy pierwszy akademicy badali popularną literaturę (brukową, wagonową...), okazywało się, że ich respondenci *ukrywali* swoje preferencje czytelnicze. Przyciśnięci przyznawali, że to ze względu na złe opinie wykształconych pracodawców, dziennikarzy czy nauczycieli. Pokojówki potajemnie kupowały romanse swoim pracodawczyniom (bo im nie wypadało sięgać po *takie rzeczy*), panowie inżynierowie ukrywali zeszytowe kryminały między stronami poważnych pozycji. Do dzisiaj widać pewne echa – w badaniach BN, zapytani o ulubione/ostatnio czytane książki, respondenci podają masowo tytuły Mickiewicza, Sienkiewicza i Żeromskiego – bo przecież nie przyznają się, że w tym roku połknęli tylko dwie części kryminalno-sądowej sagi Mroza. A co z tak zwanymi „książkami z BookToka”, jak wszystkie te *The Fourth Wing*, *The Love Hypothesis*, erotycyzujące po skraj pornografii powieści o wilkołakach, krakenach i mafiozach? Toż to wstyd!

Poniżej zobaczycie możecie krytykę literatury sensacyjnej z łamów tygodnika *Świat*, nr 18/1911 (<https://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/publication/73545/edition/70806>).



Jeden z największych składów trucizny.

Fot. M. Fuksa.

Za kulisami „literatury” sensacyjnej.

W ostatnich czasach poruszano niejednokrotnie szkody, jakie wyrządza, zwłaszcza w naszych smutnych warunkach, t. zw. „literatura” sensacyjna. Opinię publiczną łowiem poruszyły bardzo żywo dwa fakty szczególniejszego rodzaju. Oto w mieszkaniu Dłużniewskiego, osławionego przywódcy bandy łódzkiej, odkryto całą niemal bibliotekę, składającą się z tak zwanych „Sherlocków Holmesów”. A nim z pierwszego ochłoneliśmy wrażenia, już znowu doniosły nam dzienniki, że 16-letni Edward Tober dokonał ohydneho morderstwa pod wpływem „literatury” sensacyjnej. Te właśnie fakty skłoniły współpracownika naszego do nakreślenia kilku interesujących obrazów, bezpośrednio z życia czerpanych. Być może, iż rzuci to nieco światła na sprawę dość tajemniczą, o której pisano u nas dotychczas z dość odległego stanowiska.

Często mówi się o tych książkach per *guilty pleasure* – przyjemność, z powodu której powinno być nam wstyd. Czujemy się *winne*, bo sprawiła nam radość lektura romansu o wielkich, niebieskich kosmitach o złotych sercach i rozbitkiniach z Ziemi. Albo komedii SF o samoreplikującej się sztucznej inteligencji zapakowanej w maleńki kosmiczny pojazd, mającej na imię Bob. Daleko temu przecież do

dobrej literatury, do *poważnej* książki, a skoro czytamy, powinniśmy poświęcać ten czas na coś wartościowego, co ubogaca i uczy, prawda? Myślę, że figa, a nie prawda. Jak pisałam wyżej (o ile jeszcze pamiętasz, skoro jesteś już tak daleko w tym wpisie), elitaryzm literatury to już mit – jest taką samą rozrywką jak każda inna. Czy raczej: może być; nadal mamy przecież książki naprawdę piękne, oryginalne, zmuszające do myślenia, wymagające wysiłku. Wszystko jest kwestią wyboru: to, że lubisz romans albo kryminał nie oznacza, że nie możesz poczytywać Hemingwaya, Kafki, Papużanki czy Jelinek. I odwrotnie: jeśli ten nieszczęsny Hemingway cię odrzuca, nie oznacza to, że masz IQ kotki Frotki (która w tym momencie pije wodę z namoczonej patelni, zamiast z jednej z 3 misek ze świeżą oligocenką na podłodze, po wcześniejszej próbie uduszenia się uchem od reklamówki, do której sama weszła).

Jednocześnie i tu znajdzie się grupa czytelników i czytelniczek całkowicie nieobiektywnie podchodzących do danego tytułu (i mają do tego prawo). Pisało o tym zjawisku paru mądrych ludzi, wskazujących, że często tak energiczna reakcja obronna wynika z faktu, że dana osoba nie ma doświadczenia jako czytelnik: nie jest w stanie zauważyć złych stron danej powieści, nie widzą problemów językowych (bo sami miewają niedostatecznie duże kompetencje językowe), nie mają porównania z książkami lepiej przygotowanymi. Często dotyczy to bardzo młodych odbiorców, ale też tych bez wykształcenia maturalnego i wyżej. Jednocześnie bardzo łatwo dają się porwać emocjom w książce, czują więź z bohaterami, wciągają się w fabułę, nie patrząc na jej oprawę i wartość, w sumie nie widząc jej słabości. I nie jest to ich wina czy nawet ich (i nasz) problem – chcę to podkreślić bardzo wyraźnie. Lektura ma sprawić przyjemność, a im akurat ta sprawia. Jeśli coś, co lubimy, jest atakowane, automatycznie reagujemy obronnie – to reakcja naturalna. Zamiast krytykować – warto spróbować podsunąć rozwiązania, np. lepsze książki.

Przykładowo osobiście darzę dużą niechęcią serię *Rywalki* – nie tylko ja zresztą. Uważam, że, jakkolwiek czytalna i ma swoje momenty, jest oparta na podstawach tak chwiejnych, że można je zdmuchnąć jak pyłek z dmuchawca – świat przedstawiony składa się z bardzo ubogiego szkieletu, postaci mają charakter tokenowe i bez perspektywy rozwoju nawet po kilku tomach, wydarzenia noszą w większości szkarłatne piętno *deus ex machina*... Ale od lat mój tekst o pierwszej części tej serii (<https://matkaprzezozona.wordpress.com/2018/01/20/kiera-cass-rywalki-czyli-urghh-nie-czytaj-tego/>). przyciąga co jakiś czas czytelniczkę pełną słusznego gniewu na to, że śmiałam *zdissować* jej ukochany tytuł, jako stara baba, co się nie zna. Mają do tego prawo, nie usuwam ich komentarzy, możecie poczytać 😊

Swoją drogą, łapcie świetne wideo zagorzałej fanki tej serii, która akurat czyta ją z pięknym zrozumieniem – i uwielbia mimo wad. To doskonały przykład tego, jak powinno się odbierać „złe” książki 😊

W kwestii „złych” książek tkwimy więc gdzieś pomiędzy wstydem przed publicznym ujawnieniem tego, co lubimy, a fanowską euforią, pobudzaną emocjami wywołanymi lekturą porywającego tytułu.

Zmęczenie i odpoczynek

Jeśli wybaczycie mi chwilę autobiografizmu – bo gdzie lepiej szukać przykładów niż pod ręką, czy raczej pod czaszką, we własnym, nadaktywnym mózgu – nie tak dawno czytanie mnie *wyczerpało*.

Pod rząd trafiło do mnie kilka komiksów do recenzji, których treści lub konteksty wymagały ode mnie skupienia, przemyślenia i uwagi. *Visa tranzytowa* była ciężka dosłownie i w przenośni – ponad 400 stron graficznej, surrealistycznej opowieści drogi (a gatunku zwyczajnie nie lubię). *Upgrade Soul*,

w którym autor pochyła się nad odwiecznym pytaniem dręczącym science fiction: co definiuje człowieka? Co rządzi naszym zachowaniem, wychowanie czy instynkt? Gdzie leżą granice? *Smoczy Rycerz*, w pięknych kadrach opowiadający nową legendę arturiańską, wymagający do zrecenzowania wędrowki po labiryncie mitologii króla Artura. *Kosmos*, przepięknie opowiadający obrazem o „spiskowym” lądowaniu Rosjan na Księżycu. *Bootblack*, historia krążąca wokół pytań o tożsamość i jej rolę w życiu jednostki i narodu; dodatkowo zakończenie było z rodzaju tych, które wywołują u mnie czytelniczego kaca emocjonalnego. A książki! Wciągnęłam się w *Potęę mitu*, zapis rozmów Josepha Campbella – genialnego (nie bójmy się tego słowa) mitoznawcy i intelektualisty – ze świetnym dziennikarzem i krytykiem mediów Billem Moyersem. Z jednej strony forma książki – rozmowa-rzeka – jest dla mnie dość trudno przyswajalna. Z drugiej, rozmowa ma niemal pół wieku; duża część tez i wyjaśnień Campbella nadal doskonale się broni, jednak trudno nie dostrzec rozbieżności między słowami starszego, dobrze sytuowanego, białego Amerykanina 50 lat temu, a tym, co obserwuję jako nie tak starsza, nie tak dobrze sytuowana kobieta z kraju Europy Środkowej w epoce social mediów i *internet of things*. Równolegle brnęłam przez niezwykle esej Claire Dederer, krytyczki i eseistki, *Monsters. A Fan's Dilemma*, o relacji biografii autora z jego dziełem, często genialnym i relacji odbiorcy z tytułowym potworem. Wiele tu niewygodnych pytań i poczucia niepokoju, także prowokacji do pytań, które nie dają spać po nocach.

To wszystko było *dobrze*, wciągające, ale wymagające i zmuszające do szukania informacji. Trudne lektury oznaczają poświęcenie energii i czasu na ich przyswojenie i przetrwanie – nie ma opcji przeczytania i zresearchowania jednej w 2-3 godziny. Nagromadzenie takowych oznacza *wyczerpanie* – nie jestem academiczką, nie mam reżimu pomagającego mi w pracy intelektualnej, mam za to etat, rodzinę i inne zajęcia, które wręcz utrudniają wspomniany wysiłek. Na ratunek przyszły złe książki.



Patrzcie jest o tym zła książka

(<https://www.goodreads.com/book/show/195284308-dead-tired-1>)! 😏

Losowy romans można przeczytać w parę godzin. Roi się od nich wszędzie – setki darmowych tytułów na Amazonie, liczące tysiące członkiń i członków społeczności online polecające sobie tytuły, ciągle promocje, niskie ceny pierwszych tomów sprawiają, że sięgnięcie po takowy jest prostsze niż zrobienie herbaty. Z fantastyką jest nie gorzej: mamy w Polsce zatrzęsienie nowych autorek tworzących doskonale relaksujące rzeczy, jak Joanna W. Gajzler z jej *Necrovetem* czy Magdalena Kubasiewicz z serią o Wilczej Jagodzie. Czy lektura opowieści o technicznej weterynarii zatrudniającej się w wiejskiej klinice, by obok psów i krów leczyć chimery i jednorożce jest ambitną, zmieniającą rozumienie świata czynnością? Nie. Czy żałuję poświęconego czasu? Też nie.

Czytanie prostych opowieści odstresowuje. Pomaga się zrelaksować, ale nie chodzi tylko o to, że w tym momencie nie pracujemy (fizycznie czy intelektualnie). Te książki podążają często utartymi schematami narracyjnymi, które osoba mająca na koncie kilkadziesiąt przeczytanych tytułów, szybko

zauważa i rozpoznaje. Najlepiej widoczne są w romansach; same autorki żartują o „obowiązkowej kłótni kochanków w trzecim akcie”; romans ma pewnie stale używane tropy i konstrukcję, zwieńczoną niemal zawsze HEA, Happily Ever After, dla bohaterów. Sięgamy więc po coś znajomego i wygodnego jak ulubione kapcie: po blurbie wiemy, że mamy do czynienia np. z porwanymi przez kosmitów kobietami, które rozbijają się na planecie, na której panuje wieczna zima. Ratuje ich przypadkiem wysocy, przystojni, postawni, niebiescy kosmici z rogami, ogonami i niebieskim futerkiem. Okazuje się, że nasze bohaterki będą ich *true mates*, naznaczonymi przez gwiazdy prawdziwymi miłościami życia, ale różnice kulturowe oczywiście doprowadzą do wielu nieporozumień po drodze – będziemy mogli więc smakować słodki, słodki *angst* przez dużą część książki, przerywany szczegółowymi, skupionymi na kobiecej przyjemności scenami seksu, by zakończyć ślubem. Dostajemy więc paczkę emocji z gwarantowaną pozytywną gratyfikacją. Możemy czytać bez stresu, cieszyć się wzlotami i upadkami bohaterów, chwilowymi skokami endorfin, mając pewność, że nikt nam nie złamie serca.

Swoją drogą tak, to prawdziwe książki: *Barbarzyńcy z Lodowej Planety* Ruby Dixon; aktualnie wydaje je Prószyński. Serdecznie zapraszam, doskonała lektura na odstres.



Z *Necrovetem* było dość podobnie: mogłam czytać bez stresu. Nawet jeśli bohaterka była w niebezpieczeństwie, a kilka scen było dość niepokojących i krwawych, to całe pozycjonowanie powieści mówiło mi jedno: to będzie przyjemne fantasy, wiejskie, miłe, o przyjaźni i zwierzątkach. I takie było 😊

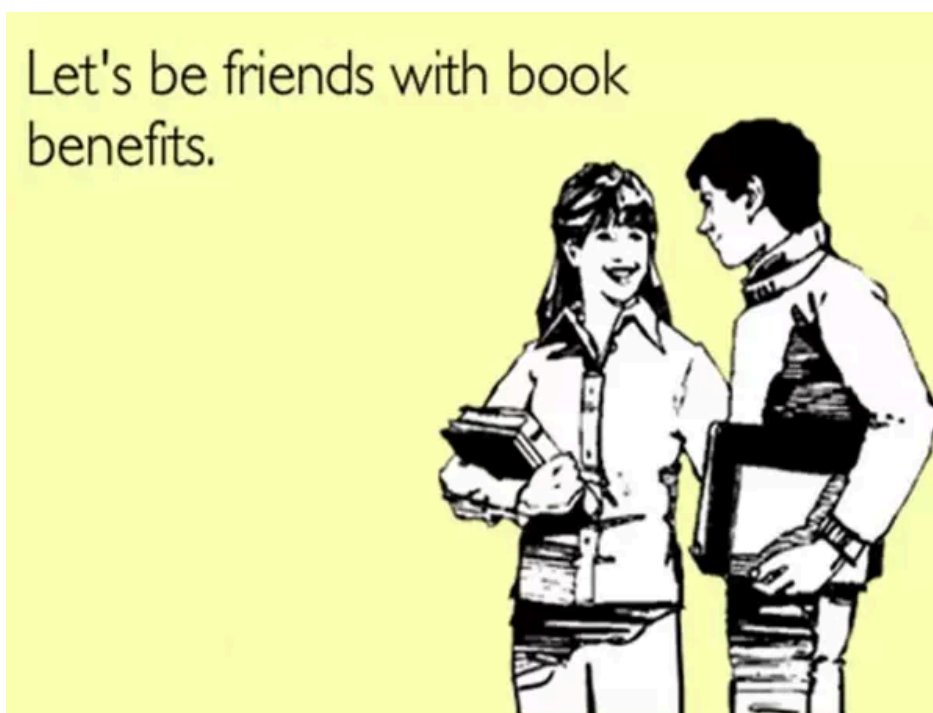
Jakiś czas temu, robiąc research do prelekcji na Pasję Minicon, porozmawiałam z gronem czytelniczek tzw. *monster erotica* (<https://matkaprzelozona.wordpress.com/2022/05/03/potworna-erotyka-czyli-moja-historia-wyszukiwania-juz-nigdy-nie-bedzie-taka-sama/>), – romansów z dużą liczbą scen erotycznych, gdzie głównym bohaterem męskim jest potwór (kosmita, demon, wampir, kraken, rekinowaty syren, wielki pająkocentaur, niedźwiedziolak... uwierzcie, nie ma granic wyobraźni). Wypytywałam je o powody sięgania po tak, zdawałoby się, ekstremalny gatunek romansu. Obok kwestii relaksu i odstresowania (wyraźnie rozgraniczonych, rozsądnie) dziewczyny poruszały kilka innych tematów. Powtarzały często, że chodzi o czysty eskapizm: taka lektura daje im to, czego w realnym świecie nie

ma: idealny romans z idealnym mężczyzną (lub samcem... lub całym ich harem), w realiach, w których nie martwi ich nielogiczność. Jesteśmy na innej planecie / w świecie fae / w piekle / w wymiarze pełnym inteligentnych insektów, naprawdę nieważne, że bohaterka w rozmiarze 46 nie nosi stanika, a biust jej nie boli, ani że może jeść wszystko i nie umrze na kosmiczną/magiczną wersję alergii pokarmowej.

Podkreślały też, jak katartyczna bywa taka lektura: głupiutki romans, ale z bohaterką, w której zobaczyły siebie (czasem ze względu na wygląd, czasem charakter), która odnalazła szczęście dzięki swoim wysiłkom i odrobinie farta, została doceniona za swoje działania i wybory, jest zaopiekowana i słuchana, więc one też mogą, mimo że ich ex zostawił je z rzeźączką i 3 tysiącami dolarów długu na czynszu, przez co straciły mieszkanie (serio, jedna z ich historii). Trudno odnaleźć zbliżony poziom relacji z bohaterem fikcyjnym w książkach Rotha czy Atwood, jeśli mam być szczerą.

Część zaznaczała po prostu, że z jednej strony ile można czytać o takich samych wysokich brunetach na motocyklu, a z drugiej – to też dość popularny kink, pokrewny teratofilii. Odsyłam do podlinkowanego wyżej tekstu o gatunku 😊

Tu warto też wspomnieć o społecznej roli „złych” książek – jak mało które hobby łączą grupy ludzi w otwarte, przyjazne, inkluzywne społeczności.



Te obserwacje można przełożyć na szersze spektrum literatury „złej”: poziom zaangażowania czytelniczki w akcję, połączony z odstresowaniem się, relaksem i eskapizmem, istnienie wspierającej grupy współczytelniczek, przy jednoczesnym usunięciu elementów trudnych, wymagających wysiłku lub wiedzy, której odbiorczyni może nie mieć, daje piorunujący, gratyfikujący efekt.

Nic tak nie angażuje jak zła książka

Dodałabym do tego jeszcze jeden argument. Jeśli rozejrzycie się nawet po swoich znajomych, zauważycie, że naprawdę nic tak nie angażuje w dyskusję jak popularna powieść / film / serial / gra. Jeśli wasze towarzystwo nie jest wybitnie włączone w kulturę akademicką i artystyczną, nie pogadacie zbyt dużo o Dobrych Pisarzach™, zwłaszcza gdy czytujecie innych niż pozostali. A gdy

już traficie w tytuł, dość często dyskusja wygląda jak moja z moim wieloletnim przyjacielem ze studiów (a więc też o pewnym kapitale kulturowym, literaturoznawstwo zobowiązuje) o *Prawieku i innych czasach* Olgi Tokarczuk, sprowadzająca się mniej więcej do:

- Przeczytałeś już?
- Yhm, chociaż ciężko było.
- Tobie też? Uff... Myślałam, że nie przebrnę, miałam kryzys w połowie.
- Ja około 200 strony... Ale dokończyłem. Język ładny, ale zupełnie do mnie nie trafiał, już wolałem Prusa.
- A ja Gombrowicza. Wiem, o co Tokarczuk tu chodzi, w tej książce, ale nie kupuję prezentacji, w ogóle mi nie wchodzi.
- Mi też nie. A będziesz czytać nowego Kinga?

Cóż, nie lubię prozy Tokarczuk, nigdy nie lubiłam i chyba nie polubię. Bywa.

Z kolei szkoda, że nie widzicie częstotliwości, rozemocjonowania i radości, z jaką wymieniamy się uwagami o złych książkach z dziewczynami, którym ten tekst zadedykowałam – Ewą i Wiedźmą. Wydłubywanie głupich elementów budowy świata przedstawionego daje radość. HEA daje radość. Punktowanie, jak źle napisana jest książka, daje radość. Gdy bohaterom uda się przeżyć i mają wszystkie kończyny, powoduje radość. Wieczne zadziwienie, że *to jest tak złe, a nie mogę przestać czytać* też wywołuje falę chichotu. Widać to po dyskusjach online – Reddit, Facebook, tiktokowe komentarze, GoodReads pełne są rozmów o *złych* książkach. To łączy, daje poczucie przynależności, zapewnia miejsce w jakiejś społeczności, nawet dwuosobowej.

Podsumowanie

Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Ten wpis w żaden sposób nie jest PRZECIWKO podziawowi książek na lepsze i gorsze. Istnienie literatury wymagającej i bardziej wartościowej pod względem artystycznym czy poznawczym oraz tej czysto rozrywkowej jest faktem, nie ma co od niego uciekać. Co więcej, w idealnym świecie dostawalibyśmy tylko dobrze napisane, przetłumaczone, zredagowane książki, niezależnie od ich wartości poznawczej.



W utopijnej krainie czytelnicy sięgaliby na zmianę po rzeczy ambitne i rozrywkowe widząc wyraźnie różnicę między nimi i potrafiąc ocenić, która jest która. Nie zamykaliby się tylko na jednym poziomie jednego gatunku – bo ciągłe czytanie tego samego, kiepskiego pisania tak naprawdę wypacza naszą percepcję. Ba, nawet trójpolówka „złe książki – dobre filmy – rzeczy do nauki” jest już super! „Złe” książki powinny być rozrywką, odpoczynkiem od wymagających i rozwijających treści – podobnie zresztą „złe” kino i „złe” gry. Oczywiście to tylko mrzonka, ale warto mieć z tyłu głowy, że poszerzanie wiedzy, horyzontów, zawsze będzie w naszym własnym interesie.

Nie chcę też udawać, że nie ma tematu i analfabetyzmu wtórnego, i dewaluacji sztuki (w tym literatury), i makdonaldyzacji przemysłu wydawniczego i tiktokizacja książek. To nie były po prostu tematy tego wpisu.

I już naprawdę na koniec: widać początek trendu NIE wstydzania się złych książek (tych rzemieślniczych i tych aczytalnych). Doskonale. Nie wstyďte się. Książka nie musi być mądrą księgą napisaną przez mądrego faceta z mądrym wykształceniem. Książka jest rozrywką, ma wciągać, odrywać od rzeczywistości i dawać radość. Ważne jedynie, żeby wyedukować się do takiego momentu, w którym odróżnimy, czy mowa o książce rozrywkowej czy naprawdę – realnie – dobrej, bo warto znać więcej niż tylko kilku średnich autorów. Tyle 😊

Główna grafika tego wpisu pochodzi z [artykułu w The Washington Post](https://www.washingtonpost.com/lifestyle/2022/12/19/used-books-stores-donation-fran-lebowitz/) (<https://www.washingtonpost.com/lifestyle/2022/12/19/used-books-stores-donation-fran-lebowitz/>), narysowała ją Eliana Rodgers.

Bibliografia

Kolejność i waga całkowicie dowolne.

- Papierowi bandyci: wypisy z polskojęzycznych powieści obiegu brukowego do 1939 roku (<https://www.depot.ceon.pl/handle/123456789/16665>), Łukasz Biskupski, Agnieszka Rawska
- Good bad books: What they are and why we should all read them (<https://www.michigandaily.com/arts/books/good-bad-books-what-they-are-and-why-we-should-all-read-them/>).
- The good side of bad books (<https://www.theguardian.com/books/booksblog/2008/nov/21/bad-novels-fiction>).
- WHY DO READERS ENJOY OBJECTIVELY BAD BOOKS? (<https://storyembers.org/why-do-readers-enjoy-objectively-bad-books/>).
- Why Do We Keep Reading a Book We're Hating? (<https://bookriot.com/reading-books-we-hate/>).
- Literatura popularna dla ludu na przełomie XIX i XX wieku, Józef Szocki (<https://rep.up.krakow.pl/xmlui/bitstream/handle/11716/2276/PM258--04--Literatura-popularna-dla-ludu-na-przelomie-Szocki.pdf?sequence=1&isAllowed=y>).
- Why we love bad writing (<https://www.salon.com/2010/12/15/docx/>).
- The Common Reader, Virginia Woolf (<https://www.gutenberg.org/ebooks/64457>).
- "The Problem is That Most of the Readers Love Bad Books!" (<https://publishingperspectives.com/2013/06/the-problem-is-that-most-of-the-readers-love-bad-books/>).
- Dlaczego literatura popularna jest popularna?, Agnieszka Fulińska (https://rcin.org.pl/Content/53850/PDF/WA248_70220_P-I-2524_fulinska-dlaczego.pdf).
- Edukacyjne walory „powieści sowizdrzalskiej”. Literatura kramarska i brukowa w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX w. i jej wydawcy, Aneta Bołdyrew (https://dspace.uni.lodz.pl/bitstream/handle/11089/43172/101-114_Boldyrew.pdf?sequence=1&isAllowed=y).
- Literatura popularna. Dyskursy wielorakie. Tom I – wybrane teksty (https://sbc.org.pl/Content/374511/literatura_popularna_tom_1.pdf).

CATEGORIES O CZYTANIU, O KSIĄŻKACH • TAGS CZYTANIE, KSIĄŻKI, MYŚLI LUZEM

Blog na WordPress.com.